

A. CONAN DOYLE.

LORD FALCONBRIDGE

Tłum. z angielskiego L. B.

4)

Wszystkie obawy, jakie mógł żywić Tom Spring, że będzie miał nad nim jakąś nieuczciwą przewagę, umilkły wskutek jego, pewnego siebie zachowania i wspaniałej budowy fizycznej, która ujawniła się jeszcze lepiej, gdy zdjął czarną, aksamitną krawatkę z wielkim, błyszczącym rubinem w środku i odrzucił biały kołnierz, który mu ścisnął grubą, masywną szyję. Potem bardzo ostrożnie wyjął parę złotych spinów od manżetów i, podwijając rękawy od koszuli, odsłonił dwa włochate, masywne ramiona, które mogły być służyć za model dla rzeźbiarza.

— Chodź bliżej do płotu — rzekł skończywszy. — Tam mamy więcej miejsca.

Bokser w przygotowaniach dotrzymał kroku straszemu przeciwnikowi. Jego kapelusz, surdut i kamizelka wisiały na krzaku. Zbliżył się na otwartą przestrzeń, którą mu tamten wskazał.

— Bicie czy walka? — spytał chłodno amator.

— Walka!

— Wyśmienicie. — odparł tamten. — Wystaw ręce, Spring. — Spróbujmy.

Stali twarzą w twarz naprzeciw siebie na porośniętej trawą polanie, przeciętej ścieżką u skraju lasu. Zuchwały i dumny wyraz miał na twarzy amatora, ale ponury półśmieszek błysnął na jego wargach i oczy jego świeciły dziko z pod gestych brwi. Ze sposobu, w jaki stał, było najzupełniej jasne, że był mistrzem w tej walce. Spring, chodząc swobodnie tu i tam w poszukiwaniu za otwartym miejscem, uświadomił sobie naraz, że nie stał nigdy wobec wytrawniejszego przeciwnika, ani w walce ze Stringerem, ani nawet ze strasznym Painterem. Lewa ręka amatora była wysunięta daleko naprzód, druga dla osłony nisko opuszczona, ciało przechylone w biodrach i głowa zupełnie poza obrębem niebezpieczeństwa. Spring spróbował lekkiego wypadu w stronę piersi i drugiego w stronę jego twarzy, lecz w tej samej chwili przeciwnik rzucił się na niego z gradem uderzeń, jakby młota kowalskiego, których Spring tyko z największym trudem zdołał uniknąć. Odskokzył, ale nie było już ucieczki przed tą wichurą mięśni i kości. Ciężki cios odrzucił jego osłonę, drugi spadł mu na ramię i bokser runął, przywalony ciężarem przeciwnika. Obaj skoczyli na równe nogi, zmierzili się wzrokiem i stanęli znowu w pozycji.

Nie mogło być wątpliwości co do tego, że amator był nie tylko cięższy, lecz także wytrwalszy i silniejszy. I znowu dwa razy powalił Springa, raz ciężarem uderzeń, drugi raz zwracając się z nim wręcz i powaleniem go na łopatki. Takie upadki mogły odebrać chęć do walki gorszemu graczowi, lecz dla Springa były to wypadki codzienne. Choć pośluzony i powalony zrywał się zawsze w tej samej chwili. Krew sączyła mu się z ust, lecz niezłomne, niebieskie oczy świadczyły o nieustraszoną duchu.

Teraz przyzwyczaił się do taktyki wypadów przeciwnika i przygotował się na nie. Czwarte spotkanie odbyło się tak samo co do napadu, ale zupełnie odmiennie co do obrony. Aż dotąd młodzieniec ustępował i padał pod ciosami. Tym razem stawiał czoło. Kiedy przeciwnik rzucił się na niego, przyjął go straszliwym, prostym ciosem lewą ręką, zadany z całej siły i podwójnym co do skutku przez pęd atakującego. Zderzenie było tak ogłuszające, że sam bokser uczuł się odrzucony wstecz poprzez trawiastą polanę. Amator zachwiał się i oparł ramieniem o drzewo, zakrywając ręką twarz.

— Najlepiejby było gdyby pan zaprzestał — przemówił Spring. — W przeciwnym wypadku dostanie pan bobu.

Tamten wyrzucił jakieś nieartykułowane przekleństwo i splunął krwią.

— Dalej — odparł.

I teraz jeszcze przekonał się bokser, że nie ma przed sobą łatwej pracy. Cięższy przeciwnik, ostrzeżony niepowodzeniem nie usiłował już odnieść zwycięstwa jednym napadem i powalić wytrawnego boksera, jak wiejskiego zapaśnika na jarmarku. Walczył równocześnie głową, nogami i rękami. Spring musiał przyznać w duszy, że ten człowiek, wytrenowany do zapasów byłby

partią dla najlepszego boksera. Jego osłona była silna, atak szybki, jak błyskawica; odbierał ciosy, jak człowiek z żelaza i kiedy tylko mógł zwrócić się wręcz, obalał zawsze lżejszego przeciwnika na ziemię. Ale to jedno, ogłuszające uderzenie, które otrzymał od przeciwnika, zanim nauczył się dla niego szacunku, ciążyło na nim silnie przez cały czas. Jego zmysły straciły coś ze swej bystrości, a uderzenia — ze swej siły. W dodatku, walczył z człowiekiem, który ze wszystkich sławnych bokserów, był najpewniejszy, najchłodniejszy i najtrudniej usępował lub tracił raz uzyskaną przewagę. Powoli, stopniowo, spotkanie za spotkaniem męczył go ten chłodny, szybki i ostro bijący przeciwnik. Wkońcu stanął wyczerpany, dysząc chrapliwie, z twarzą — o ile ją można było dojrzeć — purpurową z wysiłku. Doszedł do granicy ludzkiej wytrzymałości. Jego przeciwnik stał oczekując go, pośluzony wpawdnie i zbity, lecz, jak zawsze, chłodny, gotowy i niebezpieczny.

— Najlepiejby było, gdyby pan zaprzestał, mówię panu — rzekł. — Już z panem koniec.

Ale męskość tamtego nie chciała od tego dopuścić. Z rykiem wściekłości odrzucił wszelką umiętność i zaczął jak szalony walić obydwiema rękami. Przez chwilę Spring był zgnębiony. Potem szybko odskoczył w bok; rozległ się łoskot uderzenia, amator zażrepał rękami i runął jak długi z wyciągniętymi nogami, z niekształconą twarzą do góry.

Przez chwilę Tom Spring stał spoglądając na nieprzytomnego przeciwnika. Następnie uczuł dołknięcie delikatnej, ciepłej dłoni na nagłym ramieniu. Kobieta stała obok niego.

— Teraz najlepszy czas! — zawołała z błyskiem w czarnych oczach. — Dalej! Niech go pan rozbije!

Spring strząsnął ją z siebie z okrzykiem niesmaku, ale w tej chwili wróciła.

— Dam siedmdziesiąt pięć funtów...

— Walka skończona. Nie mogę go dotknąć.

— Sto funtów — całą setkę! Mam ją tu za stanikiem! Czy pan odrzuci setkę?

Odwrócił się na pięcie. Skoczyła mimo niego, usiłując kopnąć w twarz powalonego mężczyzny. Spring odciągnął ją szorsko, z nim mogła mu wyrządzić jakąś krzywdę.

— Ani kroku! — zawołał, potrząsając nią. — Powinna się pani wstydić, kopać powalonego człowieka.

Pośluzony mężczyzna stękając obrócił się na drugi bok. Potem powoli usiadł i przesunął wilgotną ręką po twarzy. Wreszcie, zataczając się powstał.

— No, no! — zaczął, wzruszając szerokimi ramionami — ładna walka. Nie mogę narzekać. Byłem ulubionym uczniem Jacksona, ale ustępuję panu pierwszeństwo. — Nagle jego wzrok padł na wściekłą twarz kobiety. — Holla! Betty — wykrzyknął. — Więc to tyś mam do zawdzięczenia? Mogłem się tego domyślać, po otrzymaniu twojego listu.

Tak, milordzie — odpowiedziała z przedrzeźniającym ukłonem. — Mnie masz do zawdzięczenia. Twoja żona to wszystko urządziła. Leżałam za temi zarzłami i widziałam, że dostawałeś bicia jak pies. Nie dostałeś jeszcze wszystkiego, co układałam dla ciebie, ale i tak, sędzę, że upłynie jakiś czas, zanim pokocha cię która kobieta dla twojego wyglądu. Czy pamiętasz te słowa?

Stał przez chwilę ogłuszony. Potem podniósł z ziemi szpicrutę i spojrzał na nią z pod gestych brwi.

— Jesteś dyablicą — wykrzyknął.

— Ciekawam, co pomyśli gubernatorka? — odpowiedziała.

Wpadł we wściekły szal i rzucił się na nią ze szpicrutą. Tom Spring z otwartymi ramionami rzucił się przed niego.

— Tak nie idzie; nie mogę pomóc.

Mężczyzna spojrzał na żonę przez ramię boksera.

— Tak, to za ukochanego Jerzego! — rzekł z gorzkim uśmiechem. — Ale biedny Jerzy ze złamanym nosem, zdaje się, poszedł w odstawkę. Zaczęłaś teraz znowu z bokserem, co? Znalazłaś człowieka w sam raz dla siebie!

— Ty kłamco! — zawołała dysząc.

— Ha, moja droga, to ukłótwo'a dumę, prawda? Dobrze, zasidziesz na ławie oskarżonych za przestępstwo i napad. Co to będzie za obraz — mój Boże! — co za obraz!

— Nie zrobisz tego, John!

— Nie zrobię, do.....! Czekasz tutaj trzy minuty i sądzisz, że nie zrobię. — Porwał ubranie z krzaka i zataczając się pobiegł przez pole ze wszystkich sił, gwizdząc po drodze.

— Prędko, prędko! — zawołała kobieta. — Niema ani chwili do stracenia. Zaalarmuj całą okolicę. Tobo było straszne — straszne. — Drżała i dyszała ze strachu, a jej twarz stała się siną.

Pobiegła szybko krętą ścieżką, a Spring popędził za nią, ubierając się w drodze. Na polu, po prawej stronie leśniczy, ze strzelbą w ręku spieszył w kierunku gwizdania. Dwaj robotnicy, ładujący siano, przerwali pracę i oglądali się wokół, trzymając widły w rękach. Ale ścieżka była wolna i powozik czekał na nich; koń skubał trawę na kraju drogi, a woźnica drzemał na koźle. Kobieta szybko wskoczyła i skinęła na Springa, aby się zbliżył.

— Ma pan tu swoje pięćdziesiąt funtów, — rzekła wręczając mu banknot. — Był pan głupcem, że nie zamienił ich pan na setkę, kiedy była sposobność. Teraz, skończyłam z panem.

— Ale, gdzie mam iść? — spytał bokser, rozglądając się dokoła wśród krętych dróżyn.

— Do diabła! — odparła. — Ruszaj, Johnson!

Powozik popędził drogą i znikł za zakrętem. Tom Spring pozostał sam.

Wszędzie, w całej okolicy słyszał pokrzykiwania i gwizdy. Było jasne, że jego chlebobawczyni, dopóki sama nie była narażona na hańbę dzielenia z nim jednego losu, czuła zupełną obojętność, czy dostanie się on w opałę, czy też nie. Tom Spring zaczął stawać się obojętny. Był na śmierć znudzony, bolała go głowa od otrzymanych ciosów i upadków, a jego czucie było zranione obejściem, którego padł ofiarą. Przeszedł z wolna kilka metrów drogą, lecz nie miał pojęcia, dokąd się miał zwrócić, aby się dostać do Tunbridge Wells. W oddali usłyszał naszczekiwanie psów i odgadł, że poszczuło je na jego ślad. W takim razie nie mógł się spodziewać, że ucieknie przed nimi i mógł równie dobrze czekać na nie tam, gdzie się znajdował. Wyrwał ciężki kół z płotu i usiadł czekając po nuro, w bardzo niebezpiecznym usposobieniu co się z nim dalej stanie.

Ale najpierw ukazał mu się przyjaciel, a nie wróg. Z poza rogu wypadł mały wózek z szybkim, kasztanowym kucykiem u dyszla. W nim siedział czerwony gospodarz z pod „Królewskiego Dębu“, trzaskając z bicza i obracając ciągle głowę, by się obejrzeć poza siebie.

— Niech pan wsiada, panie Spring, niech pan wsiada — zawołał, ściągając lejce. — Ida wszyscy, psy i ludzie! Prędko! Teraz, w o Ginger! — Nie przemówił ani słowa, dopóki z szaloną szybkością nie minęli dwóch mil wąskich dróżyn i nie dostali się bezpiecznie na gościniec brightoński. Wtedy popuścił kucykowi lejców i łusną ręką poklepał Toma Springa po ramieniu.

— Wspaniale! — zawołał, a jego wielka, czerwona twarz promieniała w zachwyceniu. — O, mój Boże, to dopiero było śliczne!

— Co, pan widział walkę? — zawołał Spring.

— Każdy szczegół! I, na św. Jerzego, pomyśleć, że danem mi było w życiu ujrzeć taką walkę wyłącznie dla siebie! Och, to było wspaniale! — wołał w szalonym zachwycie — widzieć, jak lord padał na ziemię, niby zarżnięty wół, a jaśnie pani biła brawo za krzakiem. Odgadłem, że się na coś zanosi i jechełem za panem przez całą drogę. Kiedy się pan zatrzymał, spętałem małego Ginger'a w lasku i popętałem za panem przez zagajnik. Dobrze się stało, bo cała parafia była zaalarmowana.

Ale Tom Spring siedział zmieszany, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Lord? — wyszeptał bez tchu.

— Ni mniej, ni więcej, chłopczel Lord Falconbridge, prezes ławy sądowej, wice-gubernator hrabstwa, par Królestwa — oto twój przeciwnik.

— Mój Boże?

— Nie wiedział pan o tem? Tem lepiej, bo może nie byłby pan walił tak ostro, gdyby pan wiedział; a niech pan zważy, że w takim razie byłby pana pobił. Niema nikogo w całym hrabstwie, ktoby mógł mu się oprzeć. Bierze kłusowników i cyganów po dwóch i trzech naraz. To postrach okolicy! Ale pan mu wsolił — porządnie wsolił. Och, człowiecze, to było śliczne!